



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mieczysław Kwaśniewski

*„Za dużo widziałem jako dziecko, żeby potem móc
sobie pozwolić na poważniejsze eksperymenty i wybryki”
(ks. bp Tadeusz Pieronek)*

Wojenna „edukacja”

Ciążenie tradycji

Dzieje mojego dzieciństwa to ironia historii i biografii. Odcięto mnie od pępowiny w 1928 roku, gdy Słońce nad Beskidem Wysokim wschodziło na tle Gwiazdozbioru Bliźniąt. Moim ojcem był podolski szlachcic, herbu Nałęcz, lecz „mizernej familii”. Do najznaczniejszych należał cześnik braclawski, w 1730 roku. Jego potomkowie łączyli się w zasadzie z rusińskimi i prawosławnymi szlachciankami, średniej zamożności.

Moją matką była góralka Ziemi Żywieckiej, która podobno ród swój wywodziła od legendarnego „Tatarczyka Podlipowskiego” z Podhala. Pradziadowie matki należeli do zamożnych włościan. Ich potomkowie spadali na dno chłopskiej biedy.

Wynika z tego, że jestem społecznym mieszańcem „ogarów i kundli”... Naukę w szkole powszechnej rozpocząłem jako syn administratora majątku kościelnego, a kontynuowałem jako syn robotnika browaru.

W naszym kraju „panował” Pan Marszałek Józef Piłsudski, a nad całością Rzeczypospolitej czuwała Jasnogórska Pani, której niestety mój ojciec mniej ufał niż Pani Latyczowskiej...

Byłem pierworodnym. Rodzice wpoili mi wagę tego faktu. Miałem być ich przedłużeniem i lepszym rodziem. Niestety, zostałem poczęty i urodzony w fatalnym roku. Wówczas miało to wielkie znaczenie. Po latach tak o naszych rocznikach pisała, w „Hańbie domowej”, pani Maria Janion: „W czasie wojny różnica dwu czy trzech lat liczyła się bardzo poważnie. Potem się zacierała. Życie pokolenia urodzonego między rokiem 1925 a 1930 zostało w szczególny sposób unicestwione, unieszczęśliwione – właśnie ze względu na datę urodzenia. Jest to generacja naznaczona traumatyzmem wojny i śmierci (...) Nasze oczy były oczami dzieci”. Wajda pisze: „moje dzieciństwo skończyło się 1 września 1939 roku”. Co nie znaczy, że nie pozostał dzieckiem. My potrafimy dotrzeć do tego dziecięcego doświadczenia, które tkwi w nas. Pamiętajmy, że jest to pokolenie dzieci, które widziały trupy ludzkie walające się na ulicach i domy padające w oka mgnieniu w gruzach.

Ojciec po odbyciu „posługi wojennej”, na rzecz ostatniego cara Rosji, przyjechał do Krakowa wraz z rodziną plenipotentą hrabiowskiego majątku w Barze. W kraju był traktowany jako emigrant Polityczny. W rezultacie, jako przeciwnik bolszewizmu, traktowany był z estymą. W kraju bezrobocia zawsze zapewniano mu zatrudnienie. Już po jego śmierci odkryłem, że jego powodem przyjazdu do Krakowa i Chrzanowa była miłość do panny dworskiej... Dopiero w Polsce panią „zauważyła”, że jej ewentualny partner jest praktycznie półanalfabetą... Za męża nigdy nie wyszła, ale do końca życia otaczała „Józka” swoją opieką. Z jej pomocą ojciec w 1926 roku. uzyskał w Radziechowach posadę administratora, gdzie poznał żonę.

Rzeczywistość II RP

Dziadek ze strony matki mieszkał we wsi, na placu jego imienia. Z dwiema żonami spłodził 18 dzieci! Nie wszystkie przeżyły. Dwóch synów wysłał do Ameryki. Pozostałym pozostawił zabezpieczenie przez dalszy podział majątku i spłaty. Wielu jego krewnych, noszących to samo nazwisko, emigrowało do Niemiec i Czechosłowacji.

Wykazywał się szczególną pobożnością. Jako pomocnik salezyjański prenumerował „Wiadomości Salezyjańskie” z Turynu. Zostawił wiele notatek, które świadczą o jego szerokich horyzontach intelektualnych, łącznie z astronomią...

Urodził się w szczególnej wsi: zacofana cywilizacyjnie, jak cała Małopolska, ale nie notowano w niej analfabetów. Liczyła kilka tysięcy mieszkańców, głównie wyrobników, którzy pracowali u zamożniejszych gazdów. Wieś szczyła się kilkoma bibliotekami. Radziechowska parafia już od XIV wieku promieniowała na całą okolicę. Szkołę we wsi założono w XV wieku, przy czym powszechność nauczania wprowadził cesarz austriacki, na podstawie ustawy z dnia 23 maja 1895 roku. Po ukończeniu czwartej klasy wręczano uczniowi „Świadectwo uwolnienia”. Nie mam pojęcia jak tego dokonywano, ale moja mama pisała kaligraficznie. Znała na pamięć wiersze polskich wieszczów oraz wiele pieśni patriotycznych i rewolucyjnych. Żałuję, że nigdy jej o to nie zapytałem. Sądzę, że czytanie zawdzięczała swojemu ojcu. Swoją „bakcyl” mama przekazała swoim dzieciom. To jej zawdzięczam, że gdy w 1945 po wojnie byłem półanalfabetą, mogłem bez trudu radzić sobie w życiu!

Moja rodzicielka była równie bogobojna, jak jej ojciec, ale cechowała ją wielką tolerancją, w naszym dorosłym życiu. Kiedy jednak byliśmy dziećmi, bez pardonu wypełniała „swoją obowiązek wobec Boga”. Należała do Kółka Różańcowego. Prenumerowała „Rycerza Milicji Niepokalanej”. Jej celem było przygotowanie pierworodnego do stanu kapłańskiego. Dobierała mi stosowną literaturę, a do liturgii miała mnie przysposobić łacińska ministrantura. Po latach dowiedziałem się, że jestem wpisany do Rejestru „Rycerzy Milicji Niepokalanej”...

Urodziła nas siedmioro. Może wynikało to z matczynego dekalogu, a może „to” rodzice lubili, przecież nie było telewizji... Po każdym porodzie uczęszczała do kościoła, „na wywody” (?), których sensu się zaledwie domyślałam.

Ojciec był ubezpieczony, zatem porody jego żony odbierała akuszerka. Wiem, że z tego powodu sąsiadki z niej kpiły: „przecie nasa, a kce to rodzić jak jako pani”...

Ojciec był „ptokiem”, w obcym środowisku. Mówił poprawnie, aczkolwiek kresowo i wymagał od nas poprawności językowej. Dzieci na podwórku tego nie znosiły, kpiły, że „po pańsku godo”. Ciężko mi było...

Kiedy ojciec utracił posadę administratora i został robotnikiem u arcyksięcia, do naszego domu zajrzała bieda i to do tego stopnia, że mama wydzielala dzieciom chleb. Przysłowie powiada, że „punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia”. Ojciec wstąpił do związku zawodowego i PPS. W naszym domu pojawiła się prasa lewicowa i nawet zacząłem być zabierany na pochody 1-majowe...

W tych warunkach zaczęto poważniej traktować „wiano” mamy, które wynosiło, w przybliżeniu, około półtora morga ziemi. Przywrócono też wartość krowy – żywicielki. Zwolniono służącą.

Zacząłem pasać tę krowinę, od rana do wieczora i bez względu na pogodę, z wyłączeniem czasu na naukę w szkole. Piastowałem też dzieci, których przybywało. Z czasem obowiązki piastunki przejęła siostra. W znacznie gorszej od nas sytuacji byli bezrobotni. Tylko ojcowie rodzin nosili obuwie. Łaty nakładano na wszystko, począwszy od butów, poprzez ubrania a kończąc na garnkach. Wielu ludzi nie było stać na kupno najtańszej soli. Na korzystanie z zapalniczek należało mieć pozwolenie, zatem w wielu domach przenoszono ogień z kuchni do kuchni.

Pogorszenie się naszej sytuacji materialnej nie wpłynęło na ustaloną praktykę odpoczynku po pracy. Zapalano lampę naftową. Początkowo mama wszystkim czytywała na głos, z czasem ten obowiązek spadł na mnie. Kiedy mama doszła do wniosku, że czas skończyć z bajkami, sięgała do Kraszewskiego. Wierszy i pieśni uczyła nas na pamięć. Ojciec najchętniej słuchał ostatnich tomów sienkiewiczowskiej Trylogii. W przystępie dobrego humoru „oprowadzał nas” po Dzikich Polach jego Ukrainy. Czasem za-

myślony nucił „dumki”. Nawet nie przypuszczał, że jego pierworodny dotrze kiedyś do wszystkich miejsc jego młodości.

Cała moja przedwojenna edukacja skończyła się na 4 klasie szkoły powszechnej. Niczego szczególnego z niej nie zapamiętałem. Zaczynałem od elementarza, kamiennej tabliczki z przytroczoną gąbką oraz „rysika”. Była modlitwa, która potem nie podobała się Niemcom, więc ją zmienili. Pamiętam żydowskie koleżanki i kolegów, którzy siedzieli w gettach ławkowych, ich też Niemcy nam „zmienili”... Radością były pauzy, gdyż na nich mogliśmy kopać „prawdziwą”, a nie szmacianą piłkę! Parszywe były kary cielesne, tak wymyślne, że cenzura by ich nie umieściła! Okropna była powszechna wśród dzieci wszawica, aby jej uniknąć golono nam głowy. Niestety, ojciec mi jej nie ogolił, gdyż dochodził do wniosku, że to uwłacza jego godności. Nie liczył się z tym, że ta moja fryzura stała się obiektem pośmiewiska kolegów...

W szkole, w domu i w kościele uczono nas patriotyzmu, który miał dość osobliwe wyznaczniki: „Od Chicago do Tobolska, jak szeroka ziemia polska”. Bohaterami narodowymi byli żołnierze i powstańcy, więźniowie oraz skazańcy. Wielcy przegrani (np. spod Cecory) i polegli na ostatniej barykadzie. Pierwsze miejsce wyznaczano T. Kościuszce. Bezdyskusyjny był J. Piłsudski. Wielkim kultem otaczano A. Mickiewicza, mniejszym J. Słowackiego.

Nasze wycieczki organizowano wyłącznie do Żywca. Zawsze ze szkolnym sztandarem. Pedagodzy mówili nam, jak to żywieccy górale pomagali naszemu królowi, Janowi Kazimierzowi. Tymczasem miejscowe niemieckie dzieci uczono innej historii Żywca, dziejopisarza Komonieckiego, który pisał: „To miejsce, na którym miasto Żywiec z grantami zasiadło, na on czas lasem bukowym było, na którym obficie bukwie się rodziły, gdzie okoliczni mieszkańcy, osobliwie Ślęzacy, niemieckiego języka będący, stada świń swoich pasali, zowiąc ten las z niemiecka Saybusch”...

Nośnikami kultury były również pieśni i wiersze, rewolucyjne i patriotyczne. Np: „Dalej bracia do bułata (...)”. „Grzmią pod Stoczkim armaty (...)”. „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród (...)”. „Do Azji precz potomku Dżingis Chana (...)”. „Grzmią hucznie dzwony na Kremlach szczytów, car świętej słucha ofiary, a u wysokich cerkwi sufitów chwieją się polskie sztandary”...

Nieoczekiwanie dla mojej rodziny, A. Hitler przegnał precz z Niemiec krewnych, którzy tam się urodzili. Ta liczna rodzina miała prawo do wspólnego z nami domu. Zamieszkali w jednym pokoju. Od razu zostali bezrobotnymi. Słabo mówili po polsku. Warto dodać, że gdy tylko Niemcy wkroczyli do Polski, całą tą rodzinę przytulono do niemieckiej piersi, po czym w 1941 roku aż trzech z nich pomaszzerowało na Ost Front... Zanim jednak doszło do tamtej wojny, Niemcy w dniu 1 października 1938 roku wkroczyły na obszar czeskich Sudetów, a w następnym dniu nasze wojska zajęły Zaolzie. Tak to wówczas ocenił W. Churchill: „Polska i Węgry: drapieżne bestie”...

„Zwycięzimy na mękę pańską”...

...”Bóg prowadzi nas do zwycięstwa” – i naród polski dozbrajał armię. Tylko z żywieckiej ziemi przekazano wojsku dwa samoloty bojowe „PLON”. W Węgierskiej Górcie budowano fortyfikacje, o ile wiem była to jedynie zawczasu przygotowana obrona, na styku z niemiecką armią. Wiele sobie po niej obiecywano. Jednym słowem, wszyscy byli pewni siły polskiego wojska i wartości naszych sojuszy. Nawet mój, wcale nie głupi, ojciec, który wojnę przeżywał na frontach I wojny światowej, nie dostrzegał zagrożeń. Przystąpił do przygotowania budowy domu, a mnie wysłał do sanatorium w Rabce Zdroju.

Kiedy po miesiącu wróciłem do domu, już w ogródkach i sadach budowano w każdej rodzinie schrony, do których składano duże zapasy żywności, na czas przygranicznej obrony Polski...

Ślepotą polityczną doprowadziła nas do tego, że już pierwszego dnia ataku na mój kraj usłyszałem „Sieg Heil”. To było niepojęte: od granicy przebiegającej stokami Wielkiej Raczy jest stosunkowo daleko do fortyfikacji w Węgierskiej Górcie, a Niemcy dopiero tam zostali zatrzymani, po czym ominęli „przeszkodę” i pognali na Żywiec i Bielsko. Wialiśmy z tobołkami, byle dalej na północ. Sam miałem zaledwie 11 lat, ale przez plecy przewiązano mi dwuletniego brata oraz dla dociążenia otrzymałem do ręki sznur od krowy. Za nami, w uporządkowanym szyku, wycofywało się wojsko polskie. W pogoni za nim pojawiły się niemieckie samoloty, siekące po wszystkim z broni pokładowej. Płacz, krzyki i Pierwsze ofiary tej wojny. Wśród ludzi i zwierzęta. Ja również oberwałem rykoszetem w łydkę. Brat w płachcie został na plecach, ale krowa uciekła. Zajął się mną – lekarz wojskowy, który opatrzył mi nogę, po czym posadził obok tabory ty. Rana była śmiesznie mała w porównaniu z innymi, ale czułem się niezmiernie ważny, gdyż wszyscy się o mnie troszczyli...

Samochodów było niezmiernie mało. Jeżeli się jednak jakiś pojawił na drodze, był rekwirowany przez wojsko, które podobno wycofywało się do rejonu umocnionego Śląska.

Cały ten cywilny „bałagan” zatrzymano w lesie, w okolicach Pszczyny. Mężczyźni uciekali na Wschód. Jedni po to, aby ich zmobilizowano do wojska, inni ze strachu przed niemieckimi przesładowaniami. Uciekł również ojciec. Długo nie wracał, bowiem dotarł aż do Ruskiej Rawy, gdzie został

zawrócony przez Armię Czerwoną. Przywiózł ze sobą jakiś płaszcz wojskowy oraz ulotkę bolszewicką: „Do Towarzyszy Żołnierzy”.

Nas, z okolicy Pszczyny, zawrócili niemieccy żołnierze, którzy mówili doskonale po polsku. Poinformowali, że południową granicę przekroczyli również Słowacy księdza Tiso: „Uni wom dadzą w dupa za Zaolzie”... – mówili. Mylili się, gdyż przyłączono nas do Reichu. Słowacy zaanektowali tylko 750 kilometrów kwadratowych obszaru Polski, u podnóża Karpat. Kiedy ojciec powrócił ze Wschodu, wiedzieliśmy również o trzecim agresorze na nasz kraj. Nie wiedzieliśmy, że w szeregach Armii Czerwonej wkroczył do Białegostoku bratanek mojego ojca – Siergiej Aleksandrowicz. Potem historia jeszcze raz zakpiła sobie z Siergieja. W 1945 roku pełnił służbę w 2 Białoruskim Froncie marszałka K. Rokossowskiego. Tym razem walczył o polski Gdańsk. Na Żuławach mina urwała mu nogę...

Wojna i okupacja

W moim opisie ograniczę się do Oberschlesien, które znam, ze względu na miejsce zamieszkania i pracy. Po wojnie byłem wielce zdumiony, gdy oglądałem filmy i czytałem książki o życiu w GG, gdzie obok codziennego terroru kwitł handel, również czarnorynkowy. Dla Polaków były czynne teatry, kina i kawiarnie, gdzie mówiono, że „tylko świnie siedzą w kinie”. Działały też szkoły, uczące zawodu, i niezależnie od tego możliwym było prowadzenie „tajnego nauczania”. Alkohol był dla Polaków dostępny. Młodzież zbierała się na ulicach, itd. itp.

W Reichu to wszystko było wykluczone. Za handel, za zabicie świni, prostytutkę czy flirt z Niemkami szło się do obozu koncentracyjnego. Wódkę sprzedawano wyłącznie Niemcom, na kartki. Polnische Volksschule opuszczała polska młodzież, wyłącznie po nauczaniu: „pisanie, czytanie, rachowanie, przyrody, robót ręcznych i religii”, w zakresie 6 klas. W kinach, restauracjach oraz w parkach i na boiskach sportowych wisiały napisy: „Für Polen, Juden und Hund eintritt verboten”. Kiedy znikł tzw. problem żydowski, z zakazu znikło też „Juden”. Tajne nauczanie? Kto by się na to odważył, gdy do każdego kąta zaglądała wścibska młodzież hitlerowska. Szkolenie wojskowe? Nie żartujmy! W miejscu publicznym rozmawiać mogło tylko dwóch Polaków, wyjątkowo tolerowano troje. W miejscach publicznych nie było wolno mówić głośno po polsku. Napisy uprzedzały: „WER POLNISCHE SPRICHT IST UNSER FEIND”. Cały problem polegał na tym, że nie znaliśmy języka niemieckiego...

Owszem, istniał głęboko zakonspirowany ruch oporu, ale też denuncjatorów było bez liku. Po każdej wyspie powiększały się szeregi partyzantów w lasach, aż w końcu o wejściu do nich uprzedzały tablice ostrzegawcze: „Achtung! Banditen!” Strzelano do każdego, kto do lasu wchodził i wychodził. Nie potrzebowali do tego policji, gdyż każdy Niemiec był uzbrojony! W tej sytuacji partyzanci nie zwalczali się wzajemnie, ze względu na poglądy polityczne. Wujek „Jeleń” mawiał, że chętnie nawet współpracował z oddziałem kpt. Jefremowa...

*„Jestem konspirant z Brygady „Lecha”
Za Polskę walczyć mi się uśmiecha
I tylko czekam stosownej chwili
By „alejańci” wreszcie ruszyli”...*

Alianci go zawiedli, na domiar złego w ZWZ, a potem w AK pojawiali się donosiciele. Pierwsze aresztowania objęły Żywiec oraz Radziechowy, Gilowice, Przyłęków i Lipową. W tej ostatniej wsi ujawniono magazyn broni i amunicji, ukryty przez żołnierzy polskiego września. Aresztowano ks. Sznajdrowicza i dziesiątki mieszkańców wsi. Wszystkich umieszczono w austriackim Mauthausen. Również tych, którzy twierdzili, że Niemcy to cywilizowany naród, który nie dopuści do zbrodni...

W tym czasie miejscowi Żydzi mieszkali w getcie, oznakowani gwiazdami Dawida i rozbudowywali polskie gospodarstwa rolne, po wysiedlonych do guberni. Oczekiwaliśmy na niemieckich osadników (bauerów), którzy mieli nam uzmysłwić, jak prowadzi się „europejskie gospodarstwo rolne”. Dla ich dzieci remontowano naszą szkołę, a nas wyrzucono do mieszkań prywatnych.

Nie pamiętam już, kiedy uruchomiono nam szkołę, w której wszystko się zmieniło: zdecydowaną większość kolegów wysiedlono, mieliśmy zupełnie innych nauczycieli. Zmieniono treść modlitwy oraz inne były portrety. Polskie godło zostało zamienione przez niemieckie, na miejsce Mościckiego powieszono A. Hitlera. Pozostał jednak portret J. Piłsudskiego, zresztą nie na długo... Praktycznie nie było się czego uczyć, gdyż program „nauczania” obejmował tylko to, co wymieniałem na poprzedniej stronie. Nowym przedmiotem była nauka języka niemieckiego, z alfabetem gotyckim. Bardzo szybko się z tego przedmiotu wycofano, gdyż zdaniem inspektoratu oświaty: „nie byliśmy godni uczyć się języka literackiego”...

Ojciec nie przerywał pracy w browarze. Mama ze względu na dużą ilość dzieci była zwolniona od obowiązku zatrudnienia, ale żeby ulżyć rodzinie podjęła się dorywczej pracy u „naszego” bauera. Kiedy płacił jej za pracę ziemniakami, była szczęśliwa, ale gdy płacił markami, wynosiła od niego obierki, aby nakarmić dzieci... Ujawnię teraz niepopularną prawdę: dawni bezrobotni i wyrobnicy chwalili sobie niemiecki „Ordnung”, gdyż wszyscy byli zatrudnieni i mieli kartki żywnościowe. Należności były nadzwyczaj skromne, ale były...

Po powrocie ze szkoły, na życzenie bauera, pasłem u niego krowy. Było ich dużo, ale pastuszków też było kilku. Po powrocie z pastwiska podawano nam kolację, z resztą służby. Zawsze oddzielnie, nie z „panami”. Nie mieliśmy powodów do narzekań, bowiem na pastwisku przystawialiśmy się do wymion krów. Często naruszaliśmy siódme przykazanie i do kieszeni wsypywaliśmy sobie zboże, które potem mielono na młynkach do kawy, gdyż żarna Niemcy zabrali w depozyt. Musieliśmy podkraść, gdyż mamę obłożono kontyngentem zboża i mleka z jej kawałka ziemi. Na tym przykładzie możemy sobie uświadomić, jak różne może być pojęcie moralności, kto chciał mógł kradzież nazywać „sabotażem”...

Nasze myśli krążyły obok tego, w jaki sposób napełnić żołądek i jak uniknąć ciosów i kopania ze strony niemieckich rówieśników, którzy mieli do tego „prawo”. Bardzo na tym cierpiała nasza chłopięca duma... Kiedyś, w obecności wujka „Jelenia” snułem swoje fantastyczne pomysły, jak zemścić się na „Hubertach”. Wówczas nie wiedziałem, że wujek postanowił obronić siostrzeńca i wystosował list z podziemnej organizacji do naszego bauera. Niemiec nie powiadomił policji, obawiał się zemsty „polskich bandytów”. Sądzę, że „Jeleń” nadużywał swoich uprawnień, ale może oszczędzono mi upokorzeń? Z tamtych lat pozostały mi w pamięci nasze ubożuchne ideały, ale przecież i one tworzyły okupacyjną historię. Zależnie od nastrojów śpiewaliśmy, nie zawsze rozumiejąc co śpiewamy, pieśni zarówno patriotyczne jak i obsceniczne, których próbkę przedstawiam niżej:

*„Za ugór ojczysty rozdarty
Na fali wiślanej płacz krwawy
Za Tatry skalne i Bałtyk (...)
Zbaw Panie kobiety i dzieci
Z płonących pożarów Hamburga
Gdy w gniewie się swoim objawisz
Daj siłę, daj radość zwycięstwa
A wyrwij nam z duszy nienawiść
Zachowaj we wrażliwych stolicach
Strzeliste gotyckie kościoły (...)”*

*„ U bauera piesek wyje
Bo na rano pił pomyje
U bauera na śwacynie
Służba jadła margarynę
A na wiecór taki bigos
Jesce nie zjys
A juz rzygos...
U bauera jest cacanie
Bo sie dziywki dupcy – w sianie...”*

Swoją propagandę Niemcy opierali o hasło: „Ein Gott, ein Welt, ein Führer”, a za podstawę wynarodowienia ludności z terenów inkorporowanych do Rzeszy wzięto memoriał „O traktowaniu ludności byłych obszarów polskich, z punktu widzenia polityki rasowej: „Kein Volk lebt länger als Dokumente seine Kultur”. Z sobie tylko znanych powodów, we wsiach pozostawiono polskie nazwy. Zmieniono je w miastach, w których ulicom również nadano niemieckie nazwy. Polakom odebrano radia. Zlikwidowano polskie książki i prasę, ale dla celów propagandowych wydawano po polsku „Katowitzer Zeitung”. Inspektorat Oświaty powierzono ukraińskiemu sprzymierzeńcowi – Horodyskiemu.

Kiedy w 1941 roku uderzono na ZSRR, wszystkim Polakom odebrano futra i kozuchy, a polskim dzieciom silne saneczki, które miały służyć do przewożenia CKM na śniegach Rosji. Prawdopodobnie moje zostały pod Moskwą...

Nie od rzeczy zapewne będzie przypomnieć nasze normy żywnościowe, w skali miesięcznej, na osobę:

- 2 kg chleba
- 700 g mąki
- 200 g mięsa wołowego
- 200 g mięsa końskiego
- 250 g marmolady
- 150 g soczewicy

- 100 g kaszy
- 300 g cukru
- 125 g kawy zbożowej
- 0,11 l octu.

Niezależnie od powyższego, ojcu przydzielano dodatkowe racje. Na Zusatzkarte für Schwerarbeiten otrzymywał: 200 g kielbasy i 300 g chleba. Kielbasę dzielił między dzieci, bo słodczy nie było... Tysiącletnia Rzesza” triumfowała, weseliła się i śpiewała. Przez cały Reich przechodziły kolumny SA i Hitlerjugent. Znana wówczas propagandzistka Leni Riefestahl, piała z zachwytem: „Londyn płonie”, „Morze płomieni ogarnia rosyjskie miasta i wieś”. Niestety, była to prawda, bo widzieliśmy powracające Junkersy z północy i wschodu... W 1942 roku skończyłem 14 lat. Ten fakt już zdecydowanie prowadził mnie do „dorosłości”. Wezwano mnie do Urzędu Pracy w Żywcu. Mama wysłała ze mną szwagra z Zabłocia. Jego znajomość języka niemieckiego, a może i łapówka, przekonały urzędniczkę i zostałem zatrudniony w papierni, w której ów wujek też pracował. Mimo wszystko praca w fabryce, oddalonej o kilka kilometrów od domu, a np. w Hamburgu, to zdecydowanie co innego. Otrzymałem przydział do „Pudełekmi”. Żadnego problemu z adaptacją, bo wszyscy tu mówili po polsku. Pracował tam już zresztą jeszcze jeden wujek, konspiracyjny „Jeleń”. Przedstawił mnie majstrowej – żywiecka Niemka – jako swego siostrzeńca, a to przecież wiele mi pomagało. Wszystko tu było nowością, zarówno sama fabryka jak i niewielka maszyna, na której „hefowałem” pudełka. Niemieckiego fabrykanta nie interesowało, czy porozumiewamy się po niemiecku, czy po polsku. Mieliśmy wykonywać normy akordowe. Lubilem pracę na trzy zmiany. W fabryce najspokojniejsza była noc. Niestety, bałem się drogi, zwłaszcza jesienią i zimą, na bezludnych odcinkach „cesarskiej drogi”. Trwała wojna, zatem każdego dnia obowiązywały godziny policyjne. Patrole wymagały posiadania „nocnej przepustki”. Niemcy nie znoszą obiboków, zatem widząc malca idącego na noc do pracy, klepali mnie przyjaźnie po ramieniu: „Gut, gut, zum Arbeiten...” To byli mimo wszystko ludzie. Dla mnie gorsze były duchy, w które powszechnie wierzono. Godziny policyjne nie pozwalają na gwałtowne przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Mimo to biegłem przez bezludne drogi i głośno powtarzałem „Skład Apostolski”...

Pracowałem już w „Solali”, na oddziale „Gumiermaschiny”, gdy w mieście nastąpiły dalsze aresztowania. Wujka „Jelenia” uprzedzono, zdążył zbiec do lasu. Otoczono dom jego rodziny i aresztowano jego żonę Honoratę. Ciężarną przesłuchiowano w Bielsku, po czym osadzono ją w Oświęcimiu. Rychło po tym aresztowano wujka z Zabłocia. Umieszczono go w Mauthausen, gdzie pracował w kamieniołomach.

Gestapo nie ustawało w poszukiwaniach „Jelenia”. Odwiedzili również moich rodziców. Wreszcie zostałem aresztowany podczas nocnej zmiany w fabryce. Ktoś poinformował o moim pokrewieństwie. W siedzibie gestapo wrzucono mnie na słomę, w piwnicy. Nie potrafię opisać swego stanu ducha. Wiedziałem, że jak mi przyłożą, to nic im to nie da, nie znałem wszak miejsca ukrywania się wujka.

Rano wezwano mnie na „przesłuchanie”, które skończyło się komicznie. Popłakiwałem już po wyjściu z piwnicy. Rzecz jasna, że nic nie wiedziałem na temat wujka. Kiedy przeciągnął mnie pejcem, zresztą nie za mocno, zacząłem na serio płakać. Przesłuchujący nie mógł mnie traktować serio jako „wroga Rzeszy” i w tej sytuacji kolanem wykopał mnie na ulicę. Bardzo się swego płaczu wstydziłem. Ten wstyd długo mnie nękał. Po wojnie wujek zaproponował mi wstąpienie do ZBoWiD, czym ugruntował mój wstyd. Nie zostałem członkiem tej organizacji. Ostatnio bardzo żałuję tamtej decyzji, bo widzę jak przybywają nam „bohaterowie”, którzy „walczyli” o Polskę niepodległą...

Nie pamiętam terminu ani okoliczności, w jakich sprowadzono polskich robotników na żywiecką Targowicę. Wykonywano tam karę śmierci na wrogach Rzeszy. Nie zapamiętałem ile osób skazano i za co. Nigdy też tego nie wyjaśniałem ze względu na szok jaki przeżyłem. Wśród skazanych był mój rówieśnik, którego szyja nie sięgała pętli. Szarpiać się chłopca unosił kat, a on krzyczał do drgającej konwulsyjnie matki, że chce żyć... Zapamiętałem tylko, że egzekucją kierował Landrat – Herling. Jedna z koleżanek po wojnie napisała: „Gdy pewnego dnia ktoś pokusi się o zebranie wspomnień, wystarczy ich na krzyk tego świata”... Rychło po tej egzekucji przeniesiono mnie do Firmy MÖLLER, której przeznaczono budynek „Hadrowni”, na terenie „Solali”. Ewakuowano ją z Magdeburga. Wszystko wskazuje na to, że firma stanowiła część fabryki zbrojeniowej. Z papierni delegowano część niewykwalifikowanych robotników. Podstawowe siły przyjechały do Żywca z Magdeburga. Na dachu „mojej” firmy wymalowano czerwony krzyż. Cały nadzór nosił mundury SS, a nas – zamiast nazwisk – obdarzono numerami. Teren firmy został wygradzony i wszyscy jej pracownicy mieszkali w baraku. Tam też byliśmy karmieni. Pracowaliśmy po 10 godzin. O rozpoczęciu pracy informował oddziałowy „buczek” w hali produkcyjnej. Drewnianymi młotkami formowaliśmy kawałki blach aluminiowych. Ja miałem uczyć się spawania. Przerwę obiadową ogłaszano przez mikrofon, a zakończenie pracy: „Achtung! Achtung! Arbeit schlus”. Wówczas czyściliśmy stanowiska pracy, po czym udawaliśmy się do baraku, pod opiekę Lagerfuhrera.

Rzecz jasna, że tęskniłem do rodziców i nawet wojennych posiłków mamy. Ale przecież dorastałem i... zaczęliśmy z kolegami podglądać koleżanki z „babskiej” części baraku. Jednocześnie z nudów

zaczęłam czytać wydawaną po polsku „Katowitzer Zeitung”. To właśnie ten szmatławiec spowodował moje późniejsze zainteresowanie się prasą. Z gazety tej się dowiedziałem, że w dniu 31 stycznia 1943 roku Niemcy pod Stalingradem poniosły druzgocącą klęskę. W Żywcu flagi przewiązано kirem. Nigdy przedtem nie ogłaszali podobnej żaloby. Zatem możliwa była ich klęska?...

Niestety, Stalingrad był daleko. Obok nas był Oświęcim, obok niego ukrywał się w Kętach chłopiec z mojej wsi, którego rodzinę wysiedlono do GG. Nazywał się Tadeusz Pieronek, który tak opisał sąsiedztwo obozu zagłady: „(...) widziałem dymy bijące z kominów, pamiętam słodkawy smak i zapach dymu. Dorastałem w atmosferze lęku i niepewności, mieszkając z ludźmi, którzy przez cały czas bali się wyspy i aresztowania (...)”.

Moja koleżanka ze Stowarzyszenia Dzieci Wojny, która mieszkała we wsi Sochy, spacyfikowanej przez hitlerowców, w taki oto wierszowany sposób opisywała swoją tragedię (Bronisława Szara, rocznik 1928):

*„Pamiętny był dzień pierwszy czerwca 1943 roku
gdy wioskę naszą otaczał ranny mrok
Zbudził nas huk wystrzałów, krzyk trwogi – wieś się pali!
Przy blasku rannej zorzy Niemców widać w oddali
Już wioskę otoczyli dookoła...
a wioska leży w dole, któż ocalić się zdoła?
Niemcy do nich strzelają, biedna ludzi dola.
Lud przerażony z ognia wynosi śpiące dzieci,
żeby się ukryć w zbożu, a tu słońce świeci...
Na próżno biedny ojciec do piersi tuli dzieci
wynosząc je z ognia pada od kuli wroga
A Niemiec biedne dzieci ciska w ognia płomienie
aby do reszty zniszczyć to polskie plemię
A matuś nieszczęśliwa swą piersią osłania dziecię
lecz pierś jej kula rozrywa,
A dzieci przerażone tulą się do martwej piersi
jak ptaki wyrzucone z ciepła rodzinnej chatki
Ginie matuś i ojciec, brat ranny, giną dwie stryjenki
jeszcze pierś jednej, martwą, ssie Staś maleńki (...)”.*

Jeżeli zatem, szanowny czytelniku, nie masz kamienia zamiast serca, jeżeli w swoim życiu kierujesz się prawdą, to nie wolno ci czuć niechęci do E. Osmańczyka za jego wierszowany meldunek: „Przekroczyliśmy Bug, Towarzyszu Bolesławie!”...

Wszyscy od tego momentu poczuli się raźniej: nawet partyzanci do tego stopnia się ożywili, że zaczęli wykonywać małe sabotaże, częściej również wykonywali wyroki śmierci na niemieckich Konfidentach. Alianci również częściej dokonywali lotów nad Śląskiem i obok nich pojawiali się nad naszymi głowami „czerwonogwiezdni”. Nad jeziorem zaporowym pojawiły się wojskowe balony, a w mieście pozorowane i rzeczywiste stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Ogień ich był stosunkowo mało skuteczny, ale przecież piloci rozwierali nad miastem swoje spadochrony. Kiedy coraz częściej zmuszano nas do ukrywania się w schronach, hitlerowcy byli uprzejmiejsi. Wreszcie w lipcu 1944 roku moja firma ponownie się gdzieś ewakuowała. Ponownie nie zabrali ze sobą niewykwalifikowanych robotników. Przekazano nas do dyspozycji Arbeitsamtu. Przekroczyłem próg swojej kolejnej fabryki dokładnie w dniu 22 lipca 1944 roku, gdy w Lublinie ogłaszano Manifest PKWN.

Była to dawna „Lechia”, na północnych obrzeżach Żywca. Niemiecki właściciel, Karl Berger, produkował maszyny rolnicze. Otrzymałem przydział do wielkiej stolarni, jako siła pomocnicza. Czeladnicy nazywali nas „szczeniakami”, bo mieliśmy robić to, co uwłacza godności stolarza, czyli wiatraki do wialni rolniczych. Tam właśnie poznałem czeladnika Karola, który z czasem stał się członkiem mojej rodziny.

Z miejscowej gazety wiedzieliśmy, że w Warszawie wybuchło powstanie. Niemiecka propaganda odpowiednio to naświetlała. Nie robiło to na nas wrażenia, gdyż praktycznie wszędzie już walczone z Niemcami. Moje środowisko było ściśle związane z Armią Krajową, ale wówczas nic sobie nie przypominam, żeby mi wpajano „jakieś opcje polityczne”. Dopiero później uczono mnie, jak się dziwić, że pan w polskim mundurze, świetnie mówi po polsku, albo że w dobrym towarzystwie nie wymienia się nazwiska Bieruta... Inna rzecz, że historia z nas szydziła i tak bardzo zamieszała: Wojsko Polskie w angielskich mundurach broniło Londynu i brytyjskiego imperium, podczas gdy z Armią Czerwoną, w polskich mundurach, wkraczało do kraju „niby polskie wojsko”. Zresztą byli to często obywatele ZSRR w polskich mundurach, którzy bili się na naszej ziemi i to oni mieli wkroczyć do Warszawy...

W fabryce pracowałem po 10 godzin dziennie, ale jak niegdyś znów mogłem wracać do domu, zresztą najczęściej pociągiem. W soboty i niedziele wszystkie żywieckie fabryki były zatrudniane przy

budowie niemieckich urządzeń, na stokach Beskidów. Czasami przeprowadzali nad nami loty piloci radzieccy, ale nie wyrządzali nam szkód. Na rozkaz żołnierzy kryliśmy się w okopie, a oni rzucali ulotki...

Coraz częściej słyszeliśmy z ust Niemców: „Hitler kaput” i co tylko mogli to wywozili do Vaterlandu. W fabryce też poluzowali. Wówczas właśnie żona właściciela, Frau Bergerowa wybrała mnie do pomocy w jej domu. Poprzednio pomagał jej Stanisław, wobec tego i mnie nadała imię „Stanislaus”. Miałem być w jej willi dwa razy w tygodniu, po dwie godziny. Do moich obowiązków należało nanosić jej wody ze studni, pozamiatać alejki przed domem i oczyścić kurnik pełen gęsi. Kiedy była ze mnie zadowolona, otrzymywałem jabłko. Najgorsze były gęsi, gdyż pomieszczenie dla nich musiało być oczyszczone, podłoga wyszorowana i wysypana wórami z heblarki. Moje nieszczęście polegało na tym, że zawsze w kurniku wymiotowałem, przy czym szefowa asystowała i kpiła z mojej wrażliwości. Sam nie bardzo mogłem pojąć mojej awersji do gówna. Przecież wychowywałem się na wsi... Nie widziałem jednak żadnej możliwości, żeby się od tej roboty wymigać.

Zdecydowanie lepiej czułem się podczas rycia stoków górskich, również z tego powodu, że czasem Wehrmacht podwoził nam kuchnie polowe z pyszną wojskową zupą. Kopano wówczas wszędzie, między Wisłą a Odrą. Na ostatnim przedpolu Rzeszy „kłębiły się” – pisze Zbigniew Żałuski – „setki tysięcy zbrojnych: dawna sława wielko-niemieckiego Wehrmachtu, niedobitki zdobywców dziesięciu stolic, zdziczałe wilki cudem ocalałe spod Moskwy i Stalingradu, strzelcy górscy z Norwegii i resztki Korpusu Afrykańskiego. Żalodne odpadki własnych narodów. Od Suwałk do przełęczy Dukielskiej w Karpatach, na ziemi polskiej stały trzy radzieckie fronty i skrzydłowe armie jeszcze dwóch innych frontów”...

To był straszliwy wysiłek tej ziemi, która ciężar tych wojsk musiała na sobie utrzymać. To była olbrzymia organizacja, żeby te masy wojska przygotować do jednej tylko ofensywy. Kiedyś obliczono, że tylko dla 1 Frontu Białoruskiego, który stał u wrót Warszawy, należało dostarczyć, żeby osiągnąć Powodzenie w walce, 68 460 wagonów wszelkiego rodzaju ładunków... Część tych ładunków, przynajmniej dla naszego wojska, musiała pochodzić z ziem ogołoconych i zniszczonych przez Niemców!

Mieliśmy też problemy ze swymi kolaborantami. Na terenach GG Niemcy utworzyli Goralenvolk, który okrył górali tatrzańskich hańbą, o której wolimy „zapomnieć”. To przecież oni, pod niemieckim protektoratem, udali się z pielgrzymką na Jasną Górę, aby podziękować NMP za „uwolnienie spod polskiego jarzma”. Patronował im Wacław Krzeptowski. Niegdyś szczyił się znajomością z Mościckim, a teraz kłaniał się Frankowi. Został na nim wykonany wyrok śmierci, w dniu 20 stycznia 1945 roku, przez oddział „Kurzawy” z A.K.

W chwili, gdy dowódca oddziału „Kurzawa” skazywał na śmierć „góralskiego księcia”, Armia Krajowa dzień wcześniej została rozwiązana, rozkazem generała Okulickiego. Tymczasem w południowo-zachodniej części Polski okupacja nadal trwała. Zatem i partyzanci nie wychodzili z lasu. Niemcy wprawdzie byli znacznie łagodniejsi, ale nadal wyznaczali nam miejsce niewolników. Oto na czym polegały ich „obyczaje” w Oberschlesien: Polacy nie byli oznakowani literą „P”, narodowość mieliśmy wpisana w Kennkartach i na kartkach żywnościowych. W tej części Reichu byliśmy praktycznie jedyymi obcokrajowcami. Niemcy albo nosili mundury, albo też znaczki ze swastyką. Witani się przez „hajlowanie”. Polacy nosili gorsze ubrania, często drewniaki. Mieli obowiązek się kłaniać wszystkim Niemcom, np. „Guten Tag” i schodzić im z drogi. Kto się do tego nie stosował był bity i czasem kopany, co raz mi się zdarzyło, przez zagapienie się...

Oznakowanie literą „P” nosiłem krótko, w firmie zbrojeniowej. Domyślam się, że dlatego, iż tam pracował Francuz, oznaczony „F” oraz dwóch rosyjskich inżynierów, oznaczonych przez „OST”.

W dniu 27 stycznia 1945 roku Armia Czerwona wyzwoliła Oświęcim. Wujek liczył, że może jego żonie udało się przeżyć. Istotnie, wujenka Honorata ocalała, ale jej dziecko zabito. W obozach Auschwitz-Birkenau pozostało jeszcze siedem tysięcy chorych i wycieńczonych więźniów, w tym 275 dzieci. Przeżyła mała garstka. Blisko półtora miliona, głównie Żydów – z 26 krajów Europy – straciło życie. Przed nadejściem żołnierzy radzieckich Niemcy ewakuowali z obozu około 26 tys. osób. Ich marsz śmierci pochłonął około 3800 ofiar.

Oświęcim był tak blisko, nieomal na wystrzał armatni, a ja się nad sobą rozczulałem, że mi Bergerowa kazała czyścić kurnik. Żeby się od niej uwolnić podłożyłem czubek kciuka pod „kreizegę”. Ludzka głupota nie ma granic... W szpitalu bez ceregieli zabezpieczono mi ranę i ze zwolnieniem lekarskim udałem się do domu. Kiedy 15 marca 1945 roku wracałem do pracy, nasi bauerzy już ewakuowali się w kierunku Morawskiej Ostrawy. Fabryka, w której pracowałem, już się też ewakuowała, podobnie jak inne. Niezmiennie i aż do końca pracował browar „dla potrzeb wojska”. Wszystko wskazywało na to, że zaraz wkroczą Sowietci. Niestety, zamiast nich pojawiły się niemieckie urządzenia logistyczne, czyli mówiąc zrozumiale, kwatermistrzostwo frontowe. Oficerowie zostali zakwaterowani w mieszkaniach, z których uciekli bauerzy. Stodoły zamieniono na koszary, a obory na stajnie. Kogo tu nie było? Główną siłę stanowili Niemcy i Austriacy z Tyrolu, obok nich dużo było Węgrów i rosyjskich własowców. Zachował się nawet mały oddział włoskich faszystów. Najbardziej cieszyliśmy się, że wraz

z niemieckimi osadnikami z Besarabii puciekali również polscy Niemcy, na których temat tak napisałem w 1984 roku, w pracy konkursowej „Moja rzecz – polska rzecz”: „Na Podkarpaciu hitlerowcy wkroczyli pierwsi i jako ostatni odchodzili. Tu Müllerowie w ciągu pierwszej doby okupacji nie chcieli znać swoich sąsiadów. To na tej ziemi modlili się, uciekając: „Poraż o Panie bezwładne ręce Polaków, zrób z nich kaleki, poraż ich oczy ślepotą, spraw, żeby polski lud gromadami zamieniał się w popiół”...

Na nasze szczęście los pozwolił nam dożyć do marca 1945 roku, gdy główne siły wojsk 4 Frontu Ukraińskiego zatrzymały się na rubieży, od górnego biegu Wisły po Tatry. Ludzie biegli w sztuce wojkowej zdawali sobie sprawę, że Sowieci tak szybko nie przełamią niemieckiej obrony w Beskidach Wysokich. Z pełnym rozmysłem opiszę ten niemiecki system, bowiem nigdzie nie spotkałem w literaturze fachowej tak przygotowanej obrony polskiej, na początku tej wojny. Gdyby tak – myślałem – oparto ją przynajmniej wzdłuż biegu Wisły, to może...

Zauważmy, że nie były to szczególnie drogie inwestycje. System niemieckich umocnień składał się: z głównego pasa obrony, na który składały się cztery pozycje uzurutowane na głębokość 5-8 kilometrów. Każdą pozycję wyposażono w schrony bojowe o gęstości 25 na kilometr frontu. Niezależnie od schronów, każda pozycja składała się z dwóch transzei a przed każdą z nich były zapory z drutu kolczastego, a na kierunku zagrożenia pancernego – pola minowe. W lukach tego rejonu rozbudowano urządzenia inżynieryjne: mosty zaminowano, drogi zablokowano. Wszystkie górskie przejścia były pod ogniem węzłów obrony, połączone systemem ognia. W budynkach na skraju wsi umieszczono środki ogniowe, punkty obserwacyjne i stanowiska dowodzenia. W ogrodach i sadach domów ulokowano karabiny maszynowe i stanowiska ogniowe artylerii. W celu zapewnienia taktycznej i ogniowej łączności, pomiędzy węzłami oporu, wykorzystano rowy gruntowe i kolejowe, do ognia skrzydłowego i ukośnego. W przypadku niepowodzenia w obronie przewidywano niszczenie torów kolejowych, mostków nad potokami, obalanie drzew na drogi oraz niszczenie słupów telefonicznych...

Fakt, że nie wykorzystano tak zorganizowanej obrony, dowódca niemieckiego frontu „zawdzięcza” swemu Führerowi, który wezwał go na pomoc obłożonemu Berlinowi.

Zrelacjonuję teraz ostatnie i dramatyczne dni wojny z Niemcami. Jak wiadomo, gdy III Rzesza się wykrwawiła, mieli jej bronić starcy i dzieci. Usiłowano przeciwstawić sobie sojuszników koalicji antyhitlerowskiej. Frontowe plakaty zwracały się do polskich partyzantów, aby nie wbijali noża w plecy armii walczącej z bolszewikami.

Zapewne te wymogi spowodowały, że pułkownik Wehrmachtu „zaprosił” do siebie kilku siedemnastolatków na rozmowę. Prowadził ją przez tłumacza. Jednym słowem, postanowił zwerbować nas do Wehrmachtu. Jego zdaniem „jako aryjczycy, mieliśmy obowiązek bronić zachodniej cywilizacji przed bolszewizmem”... Kiedy mu się to nie udało, zatrudnił nas w swoich taborach, jako cywili, na „kotle” Wehrmachtu. Podzielono nas na dwie grupy. Jedna pod konwojem żołnierskim dowoziła na linię frontu, nocami, kuchnie polowe i suchy prowiant, po czym z frontu zabierała zabitych. Druga grupa, dzienna, zajmowała się grzebalnictwem zabitych. Grupy się zmieniały.

Każdy mój wyjazd na front mama oplakiwała. Ojciec, stary frontowiec, znosił to z żołnierskim „Spokojem”. Pierwsza zmiana była niebezpieczna, za to druga koszmarna!

Nasze „dofrontowe” tabory wyjeżdżały o zmierzchu w okolice Łodygowic. Polskie koszarne drogi Niemcy wyłożyli „kopalniakami”, które następnie wyłożono gałęziami drzew iglastych. Tak przygotowane drogi miały uchronić tabory przed stukotem kół i koni. Na każdy bowiem ruch, po stronie niemieckiej, radzieccy odpowiadali bezładnym ogniem artylerii i CKM. Oba fronty zaległy w obronie, ale przedpola były od czasu do czasu oświetlane i penetrowane przez lotnictwo. No, ale „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi”...

Nie dopuszczano nas do okopów. Wychodzili do nas żołnierze. Oni też dostarczali nam zabitych, których jak na „odpoczywający front” było dużo. Po powrocie do wsi karmiono nas i wysyłano do domów na 4-godzinny odpoczynek, po którym zajmowaliśmy się pochówkiem. Najmniej kłopotu mieliśmy z oficerami. Było ich zawsze mniej, grzebano ich w umundurowaniu, zawiniętych w prześcieradła i zawsze w przydrożnych ogródkach. Zdecydowanie gorzej było z szeregowcami i podoficerami. Grzebano ich w jednym miejscu, na końcu wsi. Niestety, tylko w bieliznie, zawiniętych w prześcieradła. Ta niegdyś butna i elegancka armia musiała rozbierać swych zabitych, żeby uzupełnić magazyny. To rozbieranie zabitych było koszarne, zwłaszcza wówczas, gdy rany były rozległe i gdy krew należało wypłukać z buta w potoku...

Jedną rzecz muszę jednak powiedzieć na korzyść Niemców: nigdy i nikomu nie zabrali ostatniej krowy i nie gwałcili kobiet w widocznym miejscu, co o ile wiem, czynią wszystkie armie świata.

Była Wielkanoc, która przypadała w 1945 roku na 1 kwietnia. Wróciłem z nocnej wyprawy na front. Tuż po spożyciu śniadania w kuchni polowej, zorganizowano nam zbiórkę i pod bronią doprowadzono na plac, w okolicy kościoła i szkoły. Wiejski dobosz bił w bęben i wzywał na zbiórkę „wszystkich mężczyzn, od 16 lat do starości”. W tym samym czasie ks. proboszcz przerwał wielkanocne uroczystości i polecił wiernym stawić się na zbiórce. Uczestnicy mszy początkowo sądzili, iż ksiądz im gotuje prima aprilis, tymczasem zostali poinformowani, iż partyzanci dokonali zamachu na Rohana. Nie było wątp-

liwości, że oczekuje nas krwawy odwet! Rohan był niegdyś komendantem policji w Lipowej, gdzie krwawo rozprawił się z polską opozycją. Po czym został skierowany do naszej wsi. Kiedy do Radziechów zbliżał się front, zmobilizowano go do polowej żandarmerii.

Na zbiórce był już i mój ojciec, ale nie pozwolono mi się do niego zbliżyć. Było nas stosunkowo mało, gdyż wielu mieszkańców wysiedlono do GG. Wystarczająco jednak dużo, gdyby noszono się z zamiarem dziesiątkowania. Niemcom za tłumacza służył mój kuzyn, Marcin G. I to on mi powiedział, że „będzie źle”. Ucieczka była wykluczona, bo otaczało nas wojsko. Docierały koszmarnie informacje, że gdzieś już stawiają szubienice... Nie sądzę, że Niemcy tego właśnie chcieli. Byliśmy zbyt blisko frontu, zatem radzieckie samoloty ciągle nad nami latały i jak zawsze, gdy widzieli ludność cywilną, rozrzucali ulotki. Te zaś niezmiennie wzywały ich do kapitulacji. Tym razem rzucali ulotki podpisane przez Wielką Trójkę, która informowała Niemców o zamiarze ścigania zbrodniarzy wojennych. Rzecz jasna, że akurat te ulotki były dziełem przypadku. W każdym razie zamach na Rohana nie został ukarany. Inna rzecz, że nie było to, mówiąc delikatnie, rozsądne. Wehrmacht zrezygnował już z mojej posługi przy taborach. Dokonali nowego podziału: robotnicy browaru w Żywcu i odlewni w Węgierskiej Górze zostali zobowiązani udać się do pracy. Pozostałych podzielono na dwie grupy. Należałem do tej (znałem kilku żołnierzy), których we wsi zatrudniono do kopania okopów. Drugą grupę konwojowano w kierunku Słowacji. Z tej drugiej grupy dwóch moich kolegów postanowiło zbiec, przez skok z mostu do Soły. Zostali zastrzeleni... Kopało nam się źle podczas wiosennych roztopów, w kamienistej glebie. Okopy zamieniały się w cieką wodną. Nawet żołnierze widzieli, że nasza praca nie ma sensu. Z kuzynem Edwardem doszliśmy do wniosku, iż front coraz bardziej „huczy”, że byłoby głupio... Zaczęliśmy uciekać po kopnym śniegu, który z drewniaków czynił nam szczydła. Niemcy strzelali, żeby nie trafić, aż ukryliśmy się w baraku opuszczonym przez Hitlerjugend. Niestety, był ogołocony z koców, a wiosna była zimna. Patrzyliśmy w kierunku Żywca, skąd mieli nadejść Rosjanie. W tym czasie Niemcy wysadzali mosty na Sole i Leśniance oraz dworzec kolejowy w mieście. Bez uzasadnionej potrzeby militarnej wysadzili również komin fabryczny w „Solali”. Obalali na drogę przydrożne drzewa i wysadzali słupy telefoniczne. Z wojskowego punktu widzenia ciekawy był fakt, że nie obsadzali pozycji obronnych, które z takim trudem budowali na przedpolach naszej wsi. Front wycofywał się w walce w kierunku Romanki i Pilska. We wsi pozostawiono jedynie ariergardy.

W dniu 4 kwietnia poniesieni ciekawością udaliśmy się na spotkanie „nowego”, które nadchodziło ze wschodu. Natknęliśmy się na zbliżające się radzieckie czujki, które natrafiły na niemieckie miny. Podeszli do nas bez wrogich zamiarów. Kiedy rozpytywali o niemieckie gniazda oporu, gdzieś od strony niemieckiej ostrzelano nas z broni maszynowej. Żołnierze czujki wycofali się, mówiąc, że rychło wrócą. Powiem teraz coś bezdennie głupiego: nie należałem do głupoli, a przecież przyglądałem się tym żołnierzom podejrzliwie, w poszukiwaniu rogów pod hełmami... Ani trochę nie kolory żuję, przecież we wsi już uruchomiono prorocтва królowej ze Sabby: „Antychryst będzie panować, ołtarze karze Rujnować, z kapłanów nikt nie zostanie, smutek na ziemi nastanie”...

W dniu 5 kwietnia 1945 roku te „antychrysty” przejechały przez naszą wieś. Radość pokonała strach. Witały ich polskie flagi, wykonane z prześcieradeł i wysp oraz kwiaty z doniczek. Odezwał się dzwon w kościele, a na wysokości dawnego posterunku niemieckiej policji stała brama powitalna: „Niech żyje Rzeczpospolita Polska. Niech żyje Marszałek Józef Stalin”...

Radościom towarzyszyły obawy, które dzieliły społeczeństwo, nawet rodziny. Doskonale odczuwano się to w kościele, podczas śpiewania: „Boże coś Polskę”. Nawet Bogu stwarzano dylematy! Zauważmy przy tym, że było nas wciąż mało, że ze względu na trwającą wojnę nie wrócili wysiedleni do GG, że nawet z Oświęcimia nie mogła wrócić wujenka, która oczekiwała na stosowną decyzję radzieckiego lekarza. Oczekiwaliśmy na powrót robotników przymusowych z całej niemieckiej Europy, na pojawienie się jeńców wojennych oraz zdemobilizowanych żołnierzy. Niektórzy nigdy już nie mieli do nas wrócić. Prawie w każdej rodzinie było puste miejsce przy stole. Nie było wątpliwości, że nigdy już nie spotkamy żydowskich sąsiadów. Pod znakiem zapytania pozostawały nasze granice: na wschodzie UPA realizowała swoje hasło „Polacy za San i Bug”, zaś zachodnie oczekiwały na ostateczne decyzje Wielkiej Trójki...

Na zbiory ozimin i siewy wiosenne oczekiwały pola stratowane przez czołgi obu walczących stron. Zaminowane, poryte transejami i okopami, pokryte drutem kolczastym i betonowymi bunkrami. Polska była zniszczona i wycieńczona, a musiała ponosić koszty formowania polskiego frontu. Jeżeli chcieliśmy dokończyć chlubnie swój udział w zakończeniu wojny. Wycieńczoną wieś obłożono kontyngentami, żeby wyżywić i miasta. Nie byliśmy przygotowani intelektualnie na taki obrót wydarzeń. Narastały pytania, kto zyska i kto straci na wschodniej orientacji i PKWN. Pojawiały się mirażowe związki z wkroczeniem generała Andersa do kraju. Owe życzenia nie miały rozsądnych szans, po pierwsze dlatego, że nasi zachodni sojusznicy nie mieli ochoty na wojnę z ZSRR, który wyrastał na najpotężniejsze na świecie mocarstwo. Żywiliśmy się piękną złudą z historycznych czytanek: „Nie oddamy Omska... przyłączym Omsk do Śląska”, lub nieco późniejszą: „Jeszcze bomba atomowa i dojdziemy aż do Lwowa”...

Wyzwolenie czy zniewolenie

Były to pojęcia bardzo problematyczne. „Marksizm to była pokusa” – napisał ks. prof. Józef Tischner („Między Panem a Plebanem”) – „I było także pokusą to, co pisało „Dziś i jutro”, co później proponował PAX. Mianowicie, że komuniści rządzą doczesne życie, a katolicy wieczność”. I dalej: „Bez komunistów i bez komunizmu wielu ludzi ze wsi nie trafiłoby do szkoły”...

Coś w tym było, bo to przecież my, smarkacze uruchomiliśmy wieczorową szkołę we wsi i ani nam na myśl nie przyszło, żeby się buntować przeciwko rozkazowi radzieckiego komendanta garnizonu, który polecał Polakom tworzyć Milicję Obywatelską i Rady Ludowe. Zezwalał na podejmowanie pracy w fabrykach i utrzymywał godzinę policyjną oraz dalszy obowiązek zaciemniania okien. Bez przeszkód z jego strony, ale z inspiracji PPR utworzyliśmy we wsi „Wici”, OM TUR oraz ZWM...

Praktycznie nikt z nas nie był poza organizacją. „Mieliśmy wtedy 17 lat” – jak pisała Agnieszka Wróblewska. Obce nam były wówczas podziały polityczne. Wspólnie uczyliśmy się tańczyć i każde z nas brało udział w odbudowie zniszczeń wojennych, w tym mostów, których odbudowa łączyła nas ze Zwardoniem i Bielskiem. Podziały następowały powoli, ale i wówczas nie zwalczyliśmy swych poglądów, gdyż zbyt dobrze pamiętaliśmy naszą okupacyjną przeszłość.

Pod nadzorem radzieckich saperów odbudowaliśmy dwa drewniane mosty, w tym jeden wysokowodny, na Sole. Przy tym ostatnim zetknąłem się z przyjacielem rodziny, niegdyś piwowarem w browarze. Podczas spaceru przeprowadził dłuższą konwersację z saperem. Sowiecki wojak nijak nie mógł pojąć, że jego rozmówca zwraca się do niego przez „pan”. Po tej rozmowie piwowar doszedł do wniosku, że to są „tacy sami ciemniacy, jak i ci, którzy stają na czele miasta”...

W dniu 3 maja dotarła do nas wiadomość radiowa z posiedzenia KRN. Przemawiała Zofia Nałkowska. Odnalazłem ówczesną informację ze względu na jej nazwisko. Meldunek składał płk Piotr Jaroszewicz, który przekazywał pozdrowienia od polskich jednostek, biorących udział w zdobyciu Berlina i w pościgu za wrogiem do Łaby. Po nim zabrała głos późniejsza autorka „Medalionów”, ziemianka: „Ponieważ największym niebezpieczeństwem dla naszego narodu okazała się ideologia wszelkich odmian skrajnego nacjonalizmu, ponieważ Związek Radziecki opiera się na wynikach ścisłego wywodu naukowego, ponieważ przedmiotem nowoczesnej nauki o człowieku nie jest przesąd rasowy, ale doskonalenie warunków pracy i duchowego rozwoju ludzkości, ponieważ straszliwe rany zadane Europie przez wojnę uleczyć może tylko skupiona, ambitna i dobrze zorganizowana praca połączonych narodów przeciwko faszyzmowi, uważam akt, który połączył przyjaźnią i współpracą oba państwa, za niezmiernie pomyślny nie tylko dla uczestników, ale i dla przebiegu zdarzeń historycznych”...

Zauważmy, że mówiła to pisarka, która знаła sprawy katyńskie i znać musiała warunki w jakich żyli ludzie ZSRR. W każdym razie wiedziała, iż w kwietniu 1945 roku wszedł w życie okólnik MBP podpisany przez płk S. Radkiewicza i mjr T. Dudę o utworzeniu w Polsce obozów pracy przymusowej...

W podobny sposób rozumował mój ojciec. On to wszystko „tam” sam musiał przeżywać. Wiedział też, że na Ukrainie poumierali z głodu jego krewni. Potraktował to jako „konieczność dziejową”. Zdawał sobie doskonale sprawę, że może i dla niego nastąpić tragiczny koniec wydarzeń, ale i dla niego nie ulegało wątpliwości, że to właśnie Sowietci uwolnili jego szwagierkę z Oświęcimia i szwagra z Mauthausen, który zresztą rychło zmarł z wycieńczenia, po powrocie do kraju. Takie były realia owego 1945 roku!

Kiedy w dniu 9 maja 1945 roku ogłoszono zakończenie wojny z Niemcami, cały zwycięski świat świętował. Przez Beskidy niosło się potężne echo bijących dzwonów, syren fabrycznych i parowozów. Na Defiladę Zwycięstwa w Moskwie zaproszono polskich sojuszników. Na podobny gest nie zdobyli się Anglicy, dla tych, „którzy ocalili Londyn”... Chociaż, tu w kraju, „przebijał” pieśń Pierwszego Korpusu „Czerwonymi makami”...

Zresztą ja o niczym nie mogłem decydować, gdyż zgodnie z prawem osiągałem pełnoletność dopiero w 21 roku życia. Zatem nie ponoszę winy, ani za referendum, ani za wybory do Sejmu Ustawodawczego. Prawda, że mogłem się podjąć służby w szeregach NSZ „Ognia”, ale na to nie mogła wyrazić zgody rodzina. Ochoły też nie miałem... W tym miejscu nie muszę przypominać, że kraj stał na granicy wojny domowej. Ginęły tysiące ludzi z pobudek politycznych. Jednocześnie sporom politycznym towarzyszyła rosnąca nienawiść do pokonanego wroga, Niemca. Wykonywano na nich bezmyślne wyroki, często samosądy. Ciekawostka: w 1944 roku Churchill domagał się, aby głównych nazistów rozstrzeliwać bez sądu, a Stalin (!) upierał się przy procesach po wojnie. Po wojnie, często w roli niemieckich katów, występowały byli więźniowie obozów koncentracyjnych.

Bardzo trudno było zrozumieć ów rok 1945. W Londynie mieliśmy konstytucyjny rząd, na Zachodzie polską armię, a od Niemców uwolnili nas „lubelscy uzurpatorzy”...

Ziemie „na zawsze polskie”

W czerwcu 1945 roku ojciec, nie pytając o zdanie swego pierworodnego, podpisał „Deklarację” osiedlenia się na Ziemiach Odzyskanych. Nie miałem prawa na modny dziś „bunt pokolenia”. Mój protest był cichy, ale uzasadniony. Schorowany ojciec zaplanował, że będzie gospodarzem, a ja jego „wyrobnikiem”. Mniejsza z tym, że nie miałem zielonego pojęcia o utrzymaniu kosi, bo ojciec wiedział. Nurtowało mnie co innego: zostanę „hreczkosiejem”, bez nauki. Tak też było w istocie, ojciec do nauki wyznaczył najstarszą córkę oraz młodszego od niej o dwa lata brata. Mama „zapomniała” o swoim przyrzeczeniu, żeby ze mnie uczynić księdza. Tego zresztą nie chciałem...

Załadowano nas na transport kolejowy w Bielsku; po trzy rodziny do wagonu. Już na samym początku włosy nam się jeżyły na głowie. Maszynistą był niemiecki jeniec. Podobno ci ludzie wyskakowali z parowozu, gdy wieziono osadników. Dla uniknięcia podobnej sytuacji przedstawiciel PUR wyznaczył z grona osadników „miliçantów”, ze stosownymi opaskami i mauzerami. Na całej trasie towarzyszyli nam jeńcy, którzy remontowali tory po zniszczeniach wojennych. Jechaliśmy do Nysy długo, gdyż pierwszeństwo miały eszelony i pociągi z powracającymi z całej Europy, wiozące sporo już zdemobilizowanych żołnierzy.

Za Gliwicami wisiały ostrzeżenia, że woda może być zatruta. Można ją było czerpać w miejscach przebadanych przez radzieckie garnizony.

Do Nysy dotarliśmy w dniu 26 czerwca 1945 roku. Na gruzach dworca były trzy różne napisy: „Neisse”, „Nisa” i „Nysa” oraz hasła zachęcające do osiedlania, w towarzystwie niemieckiego: „Nysa? Nein! das ist doch Neisse”... To miasto, jako „Festung” praktycznie nie istniało, wielkie morze ruin, połączone ze smrodem spalenizny. Ocalały przedmieścia, w których nadal przebywało około 7 tysięcy Niemców. Nie siedzieli bezczynnie. Wykonywali prace porządkowe pod kierownictwem Polskiej Grupy Operacyjnej. Był już też polski starosta, Wincenty Karuga, działacz z „Rodła”. Zakwaterowano nas w willach, za rzeką o tej samej nazwie. Uruchomiono już elektrownie. Nasz transport był trzecim w kolejności. Pierwsze dwa pochodziły z Buga. W ruinach ukrywał się Wehrwolff, w oczekiwaniu na decyzje pokojowe. Podobno atakował osiedleńców i repatriantów, aleja tego nie stwierdziłem. Strzelał do szabrowników, którzy w poszukiwaniu złota dewastowali meble i ściany oraz cementarze... Obok naszej willi wybuchł granat, od którego zginęła nasza owca. Moi młodszy bracia: Tadeusz i Roman, twierdzili, że granat rzucili Niemcy. Wszystko jednak wskazywało na to, że bawili się granatem. Rzecz jasna, że baliśmy się Niemców, ale przecież też łaziliśmy po opuszczonych mieszkaniach. Nie wiem, co tam ludzie wynosili, ale ja wyniosłem szablę i mauzera z amunicją, w przekonaniu, że służyć to będzie obronie rodziny... W wielu mieszkaniach napotykał się poduszeczki z ludzkiej skóry, wypełnione ludzkimi włosami, z napisem: „FUR EIN KLEINES MITTAKSSCHLAECHER”... Miało się wówczas ochotę skierować lufę mauzera w kierunku Niemca!

Na jakimś złomowisku, bodajże w Hajdukach, po którym łąziłem z braćmi Szewczykami z Rajczy, natrafiliśmy na pomnik M. Kopernika. Nie mieliśmy pojęcia „kto to jest”, ale ze względu na szczątkowe polskie napisy powiadomiliśmy o znalezisku starostę nyskiego. Pierwszy raz wówczas jechałem samochodem osobowym. Starosta poznał pomnik. Okazało się, że Niemcy wywieźli go po powstaniu w Warszawie. Dopiero po latach, gdy już mieszkałem w Warszawie, dowiedziałem się, że wrócił na swoje miejsce już w 1945 roku.

Na osiedlenie wieziono nas do wsi Alt Patschkau (Stary Paczków). Wieźli nas wozami konnymi Niemcy z tej wsi. Droga do Otmuchowa poryta była śladami wojny. Poczawszy od jeziora, o tej samej nazwie, zniknęły ślady wojny. Przydzielono nam 22 hektarowe gospodarstwo, które z roku na rok „rozkułaczano”, aż do około 7 hektarów. Przybywali osadnicy i repatrianci. Żniwa rozpoczynaliśmy z Niemcami, którzy wówczas nawet nie sądzili, że zostaną wysiedleni. Ojciec polecił rodzinie, że należy ich traktować z szacunkiem i tak być musiało! Niestety, rodacy wobec „swoich” byli zbyt pewni siebie i pamiętając o latach wojny brali odwet...

Naszą wściekłość powiększał dostatek niemieckich miast i wsi, mimo zniszczeń wojennych i plądrowania szabrowników. Większość ludzi, którzy przemierzali pobite Niemcy, pochodziła z krajów biednych. Polscy osiedleńcy i repatrianci zastawali tu warunki komfortowe. Historia przenosiła nas na drugi brzeg cywilizacji! Wielkie kontrasty odczuwali Polacy ze wsi i miasteczek, zwłaszcza z Buga. Zresztą nie tylko oni, gdyż na widok niemieckiego wyposażenia cywilizacyjnego przeżywały swoje wielkie upokorzenia elity intelektualne z Warszawy, Krakowa, Lwowa i Wilna! Nawet im się nigdy nie śnił standard w swoich domach, gabinetach i laboratoriach, więc przeżywali wstyd i gorycz z zacofanej Polski... Żyją jeszcze dziś potomkowie tamtych ludzi! Horst Bieniek napisał dosłownie: „Teraz kłamią, wszyscy ci, co powiadają, jak to powodziło im się w dawnej Polsce. Kłamią, że czują nostalgię za utraconym Wschodem. To narastało z czasem. Wtedy był zachwyty”...

Z tych i innych powodów nienawiść do Niemców czuli i żołnierze radzieccy. Pamiętam ich tablicę za Odrą: „WOT ONA PRIEKLIATAJA GIEMANIJA”.

Ja swój wstyd przeżywałem z pozycji galicyjskiego chłopaka, gdzie nośnikiem cywilizacji był kierat i chłopskie gumki. Gdzie polski chłop udawał się do miasta na wozie wymoszczonym słomą. Nawet nigdy mu się nie śniło, żeby uczestniczyć w polowaniu inaczej niż w nagonce... Tą przykrą prawdę musimy sobie wyznaczyć, aż do masochizmu, w sytuacji, gdy mamy zamiar uczciwie przeprowadzać rachunek strat oraz zysków. Nie wińmy za nasze zacofanie zaborców, gdyż to będzie ponowne zakłamanie. Panowali u nas obcy, lecz polską ziemię bezustannie uprawiali polscy ziemianie, którym nikt nie bronił zadbać o polski lud! Gdyby np. moi przodkowie przestali się wyłącznie zajmować polonizacją i obroną kresów wschodnich, a chociaż trochę zajęli się swymi „murzykami”, wówczas Lenin nie miałby tam posłuchu!...

Gdyby polscy magnaci, po pierwszej wojnie światowej, przestali zatrudniać u siebie tanich kosiarzy, lecz kupowali kosiarki, jak niemieccy ziemianie, wówczas dekrety PKWN nie miałyby poparcia...

Zaniedbania ówczesnych elit intelektualnych i społecznych doprowadziły do tego, że do głosu doszli „Pryszczaci”. Byliśmy bardziej od naszych ojców oswojeni z cywilizacją. Wielu z nas pracowało bowiem w niemieckich fabrykach i na niemieckiej wsi. Uczyliśmy starych jak się „to pusco”, żeby uruchomić snopowiązałkę... Niczego nie zmyślam. Żyją na tej opolskiej wsi jeszcze ludzie, którzy pamiętają. Jeszcze się dziwią, jak na to mieliśmy czas. Integrując ówczesne, trudne środowisko, uruchomiliśmy: kółko amatorskie, ludowy zespół sportowy oraz w sąsiedniej wsi gminny Kurs Doskonalenia Rolniczego, który połączono z akcją zwalczania analfabetyzmu, za którą zresztą otrzymałem podziękowanie od wójta.

Epilog

Każdy z nas, „Pryszczatych”, miał swój klucz do nowej rzeczywistości, zależnie od środowiska, z którego się wywodził oraz zastanej sytuacji. W 1949 roku nie było już wątpliwości, że grozi nam kolektywizacja, która pędziła ojca do grobu. Zadziałał dla mnie szczęśliwy zbieg okoliczności: rozkazem M. Żymierskiego zostałem powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Powstała możliwość oderwania się od pług. Niestety, jeszcze raz okazało się, że należę do „przekłętego rocznika”. W wyniku wojny w Korei, rozkazem K. Rokossowskiego przedłużono mi służbę do lat trzech. Poszedłem na lewo wraz z historią, ale nie bez oporów; wypadło jak u A. Osieckiej w jej wierszu:

*„(...) Ja – wychowana bez historii
Pomiędzy Marksem i matczykiem,
ja nie wiedziałam, co tak boli,
gdy agitator idzie rżyskiem...
I nagle patrzcie – parlamenty,
O demokracji dyskusyje...
– Kto ich nauczył, Panie święty,
jak to w człowieku długo żyje!
Myśmy to mieli, nam to dali,
To do nas się uśmiechnął Bóg! (...)”*

Byłem już w ZMP. Wyjście z pochodu na nic się zdało, nawet wówczas, gdy uznano mnie „małowiernym”. Nie mogłem i nie chciałem żyć i pracować w odosobnieniu. Poszedłem za naturalnym pędem młodego serca. Nie szukam rozgrzeszenia, zwłaszcza teraz, gdy zbliżam się do końca życiowej tragikomedii. Powołam na swego obrońcę Ludwika Flaszena: „Wszyscy powinniśmy zacząć od swoich życiorysów” („Polityka 30/98). „To jest tak: zawsze są lwy, lisy i świnię. Każdy chciałby być lwem, nawet w PRL, świnią jest raczej znikoma mniejszość. Najbardziej do mechanizmów obronnych tamtego okresu pasuje pozycja lisa, ale tak naprawdę były to role wymienne. Niemal każdy miał swoją porę lwa, porę lisa, a niektórzy świni (...).”

Nie pytajmy „dlaczego”.

Wątpliwości mają swój rodowód z magla.